



Max Brand
Znowu nadjeżdża Montana!
Druga część cyklu „Montana”



BIBLIOTEKA
SZLAKIEM PRZYGODY
ANDRZEJA

52

ISBN 978-83-66980-08-2 (całość)

ISBN 978-83-67876-43-8 (część 2)

**BIBLIOTEKA ANDRZEJA
SZLAKIEM PRZYGODY**

Max Brand

**ZNOWU
NADJEŻDŻA MONTANA!**



Max Brand, a właściwie Frederick Schiller Faust urodził się 29 maja 1892 roku w Seattle w stanie Waszyngton i zmarł 12 maja 1944 roku w Santa Maria Infante w Włoszech. Osierocony w wieku 13 lat musiał walczyć o przetrwanie. W młodości pracował jako parobek na ranchach w kalifornijskiej dolinie San Joaquin. Podczas drugiej wojny światowej był korespondentem wojennym we Włoszech, gdzie zginął trafiony odłamkiem pocisku w trakcie raportowania ofensywy wojsk amerykańskich.

Studiował na Uniwersytecie Kalifornijskim. Wyróżniał się zamiłowaniem do nauki i do czytania książek, a także do buntowniczego stylu życia. Często wszczynał awantury i brał udział w pijatykach. Pisał satyryczne teksty ośmieszające uniwersytecką politykę, które publikował w szkolnych gazetkach i czasopismach literackich. Z tego powodu popadł w konflikt z władzami uczelni, które odmówiły mu przyznania dyplomu w 1915 roku. Kilka lat później uniwersytet zaproponował mu wydanie dyplomu, lecz odmówił.

Miłośnik mitologii greckiej i rzymskiej, dzieł Williama Szekspira, czy prozy sir Thomasa Maloryego, szczególnie uwielbiał dzieło *Śmierć Artura*. Zamiłowanie do klasyki odcisnęło na nim piętno w kwestii budowania postaci i fabuły.

Był jednym z najbardziej płodnych amerykańskich pisarzy. Napisał ponad 300 książek, głównie z nurtu literatury popularnej. Publikował, używając przeróżnych pseudonimów: George Owen Baxter, George Evans, David Manning, John Frederick, Peter Morland, George Challis, Evan Evans oraz Frederick Frost.

Najbardziej znany jest z przesiąkniętą akcją westernów. Do najpopularniejszych należą: *Nieposkromieni*, *Nocny jeździec*, *Siódmy człowiek*, *Córka Dana*, *Biały Wilk*, jednakże największą sławę przyniosły mu powieści o doktorze Jamesie Kildare.

Oprócz wymienionych pisał także romanse historyczne, powieści detektywistyczne oraz powieści szpiegowskie. Zarobił miliony, lecz pieniądze i sława nie miały dla niego znaczenia, a swoje powieści traktował jako sposób zarabiania na życie. Poświęcał się pisaniu poezji i powieści, z których niewielka ilość została opublikowana.

W Polsce wydano dość dużo jego różnych powieści. W PRL, w opublikowanym w 1951 roku *Wykazie książek podlegających niezwłocznemu wycofaniu* umieszczono wszystkie jego utwory, tym samym objęto je cenzurą i podlegały natychmiastowemu wycofaniu z bibliotek. Jego dzieła uznano za firmowane nagannym nazwiskiem, bądź za „zdezaktualizowane”, lub za wydane w „niewłaściwym” miejscu. Jednym słowem jego książki uznano za „szkodliwe” dla współczesnego społeczeństwa polskiego. Głównie chciano zniwelować zainteresowanie Polaków światem, szczególnie Ameryką, tamtejszym życiem i obyczajami. Jego utwory powróciły do bibliotek i księgarni po 1989 roku, w postaci publikacji opartych na wydaniach przedwojennych. Dotyczyło to jednak tylko kilku tytułów, niekoniecznie najciekawszych i najlepszych.

Max Brand



ZNOWU NADJEŹDŹA
MONTANA

Przełożył i przypisami opatrzył Dominik Wróblewski

**Sto czterdziesta ósma publikacja elektroniczna
Wydawnictwa JAMAKASZ**

Pięćdziesiąty drugi tom serii:
„Biblioteka Andrzeja – Szlakiem Przygody”

Tytuł oryginału angielskiego:
Montana Rides again!

© Copyright for the Polish translation by Dominik Wróblewski, 2024

12 kolorowych kart tablicowych: Dariusz Kocurek

© Copyright for the cover and inside illustrations
by Dariusz Kocurek, 2024

Redaktor serii: Andrzej Zydorzak

Redakcja: Monika Fabiszak

Korekta: Andrzej Zydorzak

Projekt okładki: Barbara Linda

Konwersja do formatów cyfrowych: Mateusz Nizianty

Wydanie I

© Wydawnictwo JAMAKASZ, Ruda Śląska 2024

ISSN 2449-9137

ISBN 978-83-67876-43-8

Rozdział I

Kroki brata Pascuala były szybkie i zamaszyste, ale dzień mknął ku zachodowi znacznie szybciej. Do wąwozów spływały błękitne jak woda cienie, wznosząc się wyżej i wyżej. Nagie wierzchołki łańcucha gór San Carlos¹ zachodziły różowozłotą pożogą na tle meksykańskiego nieba. Jednak zakonnik nie zważał na otaczające go piękno. Tylko mocniej ścisnął trzymany w ręku kij, jedyne go towarzysza podróży przez tę dziką głuszę. Zresztą, mógł patrzeć tylko na jedno oko. Drugie było zasłonięte płatem czarnej skóry. Na policzku z drugiej strony lśnił biały plaster naklejony na krzyż, a czoło zakrywał bandaż. By swobodniej maszerować, podciągnął długi szary habit², w efekcie nad sznurem zwisała fałda, a jej brzeg objął się o kolana. Jego opalone, włochate łydki pulsowały potężnymi mięśniami, proporcjonalnymi do potężnej budowy wędrowca. Jednakże całym zapasem żywności był woreczek mąki kukurydzianej. Cerę miał ciemną jak Indianin, a na jego szerokiej twarzy odmalowała się boleść i troska o wielkie sprawy.

Słońce wydeło policzki nad horyzontem i niebo rozjaśniła łuna kolorów. Najpierw w barwie zieleni i bursztynu, by następnie zmienić się w żółtozielony i niebieski. Seledynowy kolor zmienił się gwałtownie w granatową noc, kiedy brat Pascual znalazł się u wąskiej gardzieli wąwozu, nad którą sterczały wzniosłe skalne zęby. Zza kamienia wyskoczył zając i uciekał z cichym szelestem. Zakonnik stanął i krzyknął w głąb skalnej czeluści:

¹ *San Carlos* – pasmo górskie w północnej części Meksyku.

² *Habit* – w większości Kościołów chrześcijańskich charakterystyczny strój członków zakonów i zgromadzeń zakonnych; w zależności od zakonu składa się z sukni, płaszczka, szkaplerza oraz pasa lub sznura.

– Hej! Hej! Jestem brat Pascual! Hej, tam! Słyszycie? Jestem brat Pascual!

Po chwili, zanim zamarły echa, jakiś głos zagadał niemal u jego boku:

– No i kto jest teraz głodny, braciszku? Z czym głodem teraz przybywasz?

– Czy to ty, Luis? – spytał zakonnik.

– Luis udał się na zwiad za bydłem do Chihuahua¹ o jeden raz za dużo i wpadł. Zabili go w rzeźni. Pewnie przerobili na kiełbasę, chociaż był zbyt łykowany.

– A ty kto? Ty pewnie jesteś Carlos!

– Brat widział mnie tylko raz. Jest zbyt ciemno, byś mnie rozpoznał, chyba że widzisz jak kot. Skąd masz taką pamięć, bracie?

– Z miłosierdzia, chłopcze. Biedny Luis! Więc nie żyje? On też potrzebował miłosierdzia.

– Każdy kto służy Rubrizowi – odparł Carlos.

– Ja też. Jak wszyscy śmiertelnicy – powiedział pokornie brat Pascual. – Idę do herszta.

– Mają tam dziś burdę. Wczoraj zgarnęliśmy partię mułów... – Zaczął tłumaczyć Carlos, lecz brat przerwał mu w pół słowa:

– Nie chcę tego słuchać. Wszyscy jesteśmy grzesznikami, Carlosie. Ale ze złego dobro może wyniknąć. Tak, zło może zrodzić dobro. Święty Mikołaju², nie opuszczaj mnie!

To mówiąc, wszedł do czarnej czeluści wąwozu. Gęstość szybko się rozszerzała. Gałęzie drzew zapychały przejście. Torując sobie drogę kijem, wędrowiec wydostał się na równą dolinę. Bliska smuga światła w pobliżu kreśliła się w mętne zarysy domu.

¹ *Chihuahua* – tu: miasto w północnym Meksyku, stolica i drugie pod względem zaludnienia miasto w stanie Chihuahua w Meksyku, położone u podnóża gór Sierra Madre Zachodnia.

² *San Nicolás de Bari (Mikołaj z Miry)* – prawdopodobnie chodzi tu o tę postać; znany również jako Mikołaj z Bari, żył na przełomie III i IV wieku, wsławił się cudami oraz pomocą potrzebującym i biednym.



Brat Pascual znalazł się u wąskiej gardzieli wąwozu,
nad którą sterczały wzniosłe skalne zęby.

Już z daleka doszły go śpiewy, krzyki i bieganina. Choć słubował kochać dobro i nienawidzić zło, nie mógł powstrzymać drobnego uśmiechu. W gruncie rzeczy Pascual miał naturę rolnika i nawet taki *bandido*¹ jak Mateo Rubriz mógł liczyć na jego pobłażliwość. Złodziej okrada wszystkich. *Bandido* prześladowa tylko bogatych, a w Meksyku² panuje wśród ludu głęboka, wyrosła z samej ziemi wiara, że każdy bogacz jest łotrem.

Zbliżywszy się do domu, uderzył trzykrotnie w drzwi swoim kijem. I nie czekając aż mu otworzą, wszedł do oświetlonej sieni pełnej od dymu i krzyknął:

– Ja, brat Pascual, przybywam! To ja, brat Pascual!

Jego grzmiący głos zahuczał w całym domu. Na prawo otworzyły się drzwi, z których wydobyła się fala wrzawy.

– Dawać tu Pascuala! – Rozległ się znajomy, przeraźliwy głos Rubriza.

Sześciu młodych oprychów wpadło do sieni i pochwyciwszy krzepkiego braciszka, pchnęło go przed oblicze herszta. Izba służyła za kuchnię, jadalnię i pokój gościnny. Chór przyjaznych głosów powitał wędrowca razem ze smakowitym zapachem koźlęcej pieczeni, najpyszniejszej nad inne. Do jego nozdrzy wdarł się jeszcze zapach *frijoles*³ upichconej z pieprzem, mocnej kawy, lekkiego piwa i kwaśnego wina. Wszystkie zmieszane ze sobą zapachy drażniły jego nozdrza.

Część zbójów wciąż jadła, inni niedbale przyglądali się poczynaniom Rubriza, który odważał na małej wadze grudki błyszczącego białego metalu i kupki ciężkiego żółtego proszku.

Brat Pascual nie chciał nazwać tych rzeczy srebrem i złotem, gdyż pieniądze są źródłem wszelkiego zła, a on kochał tych ludzi

¹ *Bandido* (hiszp.) – bandyta.

² *Meksyk* – oficjalnie Meksykańskie Stany Zjednoczone; państwo w Ameryce Północnej.

³ *Frijoles* (frijoles refritos) – meksykańska smażona pasta fasolowa.

wbrew sobie. Więc skupił swój wzrok na Rubrizie. Herszt miał na sobie zwyczajne, podwinięte do kolan, bawełniane spodnie i tanie *huaraches*¹. Rękawy koszuli, obcięte blisko pach, pozwalały zobaczyć potężne mięśnie. Powiadano, że w górach San Carlos, a nawet w całym Meksyku i może nawet na całym świecie, nie było drugiego takiego siłacza jak Mateo Rubriz.

W każdym razie tak uważał Pascual. Jakże zachwycała bracia siła tego ziomka-rolnika w tych brudnych, poszarpanych łachmanach. Lubił także tę jego czerwoną jedwabną myckę², którą bandzior uwielbiał nad wszystkie *sombrera*³, czy to z filcu, czy ze słomy. A długa biała blizna od bata, znacząca się ukośnie na zaczerwienionej twarzy Mateo, poruszała w Pascualu strunę współczucia. Powiadano, że jedno cięcie batem nie zostawiłoby tak szerokiej i głębokiej blizny, tylko sam Mateo Rubriz w szaleńczym przypiływie wstydu i wściekłości natarł ranę solą, by ta dłużej piekła i gwałtowniej podsycala nienawiść w sercu. W każdym razie, ilekroć twarz herszta mieniła się czerwienią – co często się zdarzało – tylekroć blizna mieniła się na białą.

– Chodźże, mały, stary Pascualu! – ryknął Rubriz. – Coś ty sobie zrobił? A mówiłem, żebyś nie chodził na skróty przez góry, po klifach i zjeżdżał w dół, bo zlecisz w przepaść. Dobrze, żeś się tylko pokiereszował, a nie zabił. Dzięki Bogu! Chodź, zanurz ręce w tym worku – samo złoto – i nabierz w garście. Możesz naładować kieszenie i rozdać biedakom. Możesz kupić nowego muła dla swojego *arriero*⁴, nową krowę dla gosposi, nową strzel-

¹ *Huaraches* – rodzaj taniego meksykańskiego obuwia – sandałów.

² *Mycka* – mała okrągła czapeczka bez daszka, ściśle przylega do głowy.

³ *Sombrero* – wysoki kapelusz słomiany lub filcowy z miękkim szerokim rondem, popularny w Hiszpanii w XV i XVI wieku, stamtąd trafił do hiszpańskich kolonii w Ameryce Środkowej i Południowej; stanowi narodowe nakrycie głowy Meksykanów i Chilijczyków.

⁴ *Arriero* (hiszp.) – poganiacz mułów.

bę dla łowcy, nową pułapkę dla trapera. Możesz dostarczyć owiec owczarzowi i bydła biednemu *charro*¹. Zanurz dłonie aż po nadgarstki i zgarnij, ile zdołasz. Chodź, Pascualu! Hej, chłopcy! Gdy brat Pascual się za nas pomodli, przybliżymy się do nieba o tysiąc mil.

Zakonnik stanął obok bandyty i spojrzał na skórzany worek ze skarbem. Kolory srebra i złota mieniły się w worku i rozsypały po stole. Nabrawszy powietrza w płuca, uniósł oczy ku belkom sufitu, czarnym od dymu.

– Ojczy, przebacz im! – westchnął z głębi serca, po czym zwrócił się do bandziora: – Nie, mój biedny Mateo. Daj mi coś zjeść, tylko się umyję. A kradzione pieniądze są szkodliwe nawet dla biednych.

Rubriz chwycił go za ręce i zmierzył go od stóp do głowy, na wpół wściekle, na wpół z czułością.

– Słuchaj, bracie! Reszta cicho. Mateo Rubriz gada. Słyszycie? Kiedyś zaniecham swego życia i udam się z tym pocziwcem na pustynię. Będę wygrzebywał korzonki gołymi rękami i żywił się nimi. Pić będę tylko źródlaną wodę – podaj który kubek wina! – i do końca życia będę się modlił i pokutował.

Pochwyił z rąk któregoś łotrzyków duży wysadzany klejnociem kubek, wypełniony kwaśnym czerwonym winem i jednym haustem wypił połowę.

– Żaden Meksykanin nigdy nie odprawiał pokuty, tak jak ja będę pokutował! – zaryczał. – A nie ma to jak Meksykanie!

Zamachnął ręką, w skutek czego część wina plusnęła na podłogę, oblewając jego gołe, owłosione łydki.

– Słyszysz, Pascualu? Na Boga! Zostanę tak wielkim świętym, że inni będą musieli stanąć w ścisku i bliżej zsunąć opromienione głowy, by zrobić miejsce dla Mateo Rubriza. Więcej

¹ *Charro* (hiszp.) – wieśniak.

wina. Nie upiłem nawet kropli przez miesiąc pustynnej suszy. Idź się umyć, Pascualu, i chodź jeść. Święty Janie Kapistranie¹! Moja krew jest czerwiejsza niż to wino, a każda jej kropla śpiewa we mnie, gdy widzę takiego dobrego człowieka.

Brat Pascual poszedł do studni znajdującej się w patio. Zrzuciwszy habit, zmywał z siebie kurz i pot po podróży. Nawet tu słyszał głos Rubriza, jak wydzierał się na swą bandę:

– Wszyscy jesteście świnię! Potraficie jedynie pchać się do koryta. Jedyiny prawy człowiek to brat Pascual!

Wróciwszy do izby, na mnicha czekała ogromna porcja koźlecej pieczeni prosto z rożna i dużo *frijoles*. Cienkich, giętkich i wilgotnych *tortilli*² użył zamiast łyżki i widelca. Nóż miał swój.

Jedząc, popijał umiarkowanie czerwone wino z ogromnego kufła. Na jego meksykański gust *pulque*³ byłaby lepsza. Łup podzielono i skarb zniknął ze stołu, choć tu i tam błyszczały jeszcze na szorstkich deskach plamy złotego proszku. Miesięczna płaca dziesięciu robotników marnowała się w tym bezmiarze zbójów. Mateo znów jadł, przechadzając się z drogocennym kubkiem wina w jednej ręce, a w drugiej tłustym udźcem, z którego odrywał potężnymi zębiskami wielkie kęsy.

– Teraz możesz mówić, Lucio – rozkazał Rubriz. – Siedzisz z ogniem w oczach i ukatrupiasz wzrokiem Joségo. Gadaj, o co chodzi.

Lucio wstał. Nie miał okrągłej napuchniętej twarzy rolnika, wręcz przeciwnie, jego rysy zasługiwały na miano arystokratycznych, a zapadnięte policzki i naciągnięte kąty ust nadawały mu szyderczego uśmiechu.

¹ *Święty Jan Kapistran* (San Juan de Capistrano, 1386-1456) – właściwie Giovanni de Capestrano, franciszkanin, obserwant, kaznodzieja, założyciel klasztorów Braci Mniejszych Obserwantów, święty Kościoła katolickiego.

² *Tortilla* – okrągły, cienki placek kukurydziany, bardzo popularny w Ameryce Łacińskiej.

³ *Pulque* – napój ze sfermentowanego soku agawy.

– José, wstań! – rzekł.

– Mogę stanąć tobie i każdemu! – warknął barczysty młodzik o krzywych nogach, prawdziwie rolniczy typ. Puszył się i stanął w zawadiackiej pozie.

– Podczas ucieczki padł mi koń – zaczął Lucio. – Pędziłem pieszo co sił w nogach. Usłyszałem tętent. Patrzę, a to mój przyjaciel José. Wyciągam rękę, by mnie podsadził na konia, a ten – na świętego Krzysztofa¹! – tylko przeleciał jak wicher. Nawet udawał, że mnie nie widzi. Gdyby nie rozpadlina w skale, w której się schowałem jak jaszczurka, policjanci i żołnierze dorwaliby mnie. Bądź sprawiedliwy, wielki Rubrizie! Czy to koleżeństwo? Sfora lepiej traktuje kulawego psa!

Z gardeł obecnych wydobył się pomruk, nie głośny, ale pi-skliwy. Po tym brat poznał, że serca bandziorów zatliły się gniewem.

– A ty co powiesz, José? – zagrzemiał herszt.

– A to! – odrzekł głośno José. – Widziałem Lucia, rozumie się. I chciałem mu pomóc, ale miałem przytroczony do siodła worek złota. Mogłem narazić siebie i konia. *Rurales*² na pewno by nas złapali, gdybym go wciągnął na konia. A ja musiałem ratować złoto, więc gnałem dalej. Powiedz, Lucio, jesteś wart trzydzieści funtów³ złota? No, mów!

¹ *Cristóbal Magallanes Jara* (1869-1927) – prawdopodobnie chodzi tu o tę postać, Święty Kościoła katolickiego, ksiądz, misjonarz ludowy, męczennik, ofiara prześladowań antykatolickich, które zapoczątkowano w okresie rewolucji meksykańskiej.

² *Rurales*, *Gwardia Rural* – termin meksykański, używany do opisanie sił rządowych; członków potocznie określano mianem „Rurales”; był to rodzaj konnej żandarmerii, mającej ścigać bandytów na meksykańskiej ziemi; Członków określało się także mianem policjantów; tu: terminy zamiennie z terminami policja i policjant.

³ *Funt* – pozaukładowa jednostka masy; obecnie w państwach anglosaskich jest przyjęty międzynarodowy funt równy 0,453 kg oraz skrót lb.

Lucio milczał. Tylko po jego oczach widać było, że chętnie skoczyłby mu do gardła, ale nie mógł wydobyć z siebie słowa.

W izbie zapanowała cisza. Banda wyciągnęła szyje, a ich ciekawe oczy, skierowane na spokojnie przechadzającego się tam i z powrotem przywódcę, świadczyły o ogólnym napięciu. Rubriz przystanął i wskazując ogryzioną kością na Joségo, rzekł:

– Srebro – dobra rzecz, złoto – jeszcze lepsza, ale ani srebro, ani złoto, ani szmaragdy, ani diamenty nie są warte jednej kropli ludzkiej krwi. Krew jest lepsza niż pieniądze. Mój José, za krótko ze mną jesteś. Nie wyrobiłeś się. Inaczej, na świętego Kapistrana! Własnoręcznie powiesiłbym cię na tej belce. Minałeś kolebę, który został bez konia? Zostawiłeś go na pastwę policji? Ale że krótko tu jesteś, to ci tym razem daruję. Zapamiętasz, co powiedziałem?

– Zapamiętam! – zawstydzony, spuścił oczy.

– Jesteś zadowolony, Lucio? – spytał herszt.

– Nie.

– W takim razie bierzcie noże. Rozbierzecie się do pasa. Porzucicie się albo zabijcie nawzajem. Takie jest prawo. Ale nie może być skrytej nienawiści pośród mojej bandy *charros*.

– Dobrze! – zgodził się José i zaczął zrywać z siebie kurtkę.

Lucio milczał, lecz jego wściekle od żaru spojrzenie i wykrzywione szyderczo usta mówiły więcej niż słowa.

W tym momencie w sprawę wdał się brat Pascual. Wstał i podszedł do Lucia.

– Lucio – rzekł – gdy twój brat zachorował w górach, odszukałem go i przyniosłem na plecach do obozu.

– Jako zapłatę mogę podarować bratu prawą rękę.

– To dawaj – i potężny mnich chwycił zdziwionego zbója za prawą rękę i pociągnął go w stronę, gdzie stał José. – Daj mi swoją rękę, José.

– Moja ręka należy do mnie – bąknął nadąsany.

Olbrzymia łapa mnicha zamknęła się na kołnierzu zadziornego chłystka w kleszczowym uścisku i potrząsnęła nim ostro. W ręku zawadiaki błysnął nóż, zamierzył się na nieustraszonego brata, ale nie uderzył. Nóż sam wyleciał mu z ręki. Jednak nie sprawił tego srogi wrzask trwogi całej bandy, co dziwna bojaźń przed bratem Pascuałem.

– Teraz daj mi rękę! – rozzłościł się mnich. – Inaczej wezmę i cię wywalę jak świnie w błoto. Nie takich jak ty wyrzucałem!

– Przebac mi, bracie! – jęknął bezradnie José i podał prawą rękę. Brat momentalnie złączył ją z prawicą Lucia. Dwóch zawadiaków patrzyło na siebie z nienawiścią.

– José to głupiec, ale to młody głupiec i może się nauczyć mądrości – zagrzmiał mnich. – Lucio, uściśnij mu dłoń. Ja, brat Pascual, rozkazuję ci. José, wyznaj mu, że źle postąpiłeś. Urażony człowiek jest gorszy od rozłoszczonego psa, lecz spowiedź oczyszcza serce.

Zapadła cisza, pełna tak ostrego napięcia, że słyhać było tylko oddechy ludzi i odgłosy ogryzanej przez herszta kości.

Nagle José poddał się:

– Zawiniłem, Lucio. Miałem do ciebie uraz o tę karą¹ klacz. Zapomnisz mi to?

– Naprawdę? – zdumiał się Lucio. – Przyznajesz się przed wszystkimi? Więc jesteś mi bratem!

I nagle zarzucił mu ręce na szyję.

– Wstyd mi, ale... zawiniłem – szepnął José.

– Wstyd ci? – krzyknął Lucio. – Kto się uśmiechnie, zabiję.

Ale nikt nie myślał się uśmiechać. Jedyne Mateo cisnął w ogień ogryzioną kość, która po drodze brzęknęła o garnek

¹ *Maść kara* – umaszczenie konia; barwa sierści pokrywającej ciało konia, wraz z barwą grzywy i ogona, uwarunkowana genetycznie; koń o takiej maści ma całkowicie czarną sierść.

i wpadając w popiół, wzbijała go do góry, tworząc białawą chmurę pyłu.

– Na rany boskie! – krzyknął. – Moi zbóje zmieniają się w baby. Ale niech tam! Byłem cię tu miał, bracie Pascualu, tak długo jak ich. Czy przyszedłeś tylko zażegnać spory moich biednych ludzi?

– Przyszedłem z tobą poważnie porozmawiać, Mateo – odparł spokojnie wielki mnich.

– Słyszeliście? – ryknął Rubriz do swej bandy. – Przyszedł ze mną porozmawiać. Czemu stoicie? Nażarliście się i macie forszę. Idźcie pić, aż się pośpicie. Wynocha!



Rozdział II

Herszt i mnich zmierzyli się przez szerokość stołu.

– Najpierw opowiedz mi o swoim wypadku – poprosił Rubriz. – Nawet górskie owce skręcają karki od czasu do czasu. Dostałeś w oko? Dzięki Bogu, że go nie straciłeś!

– Dostałem kolbą w czoło nad okiem – wyjaśnił Pascual.

– Kolbą? – Herszt nasrożył się groźnie, grożąc palcem. – Kolbą? A tu na policzku, co to jest?

– To od noża. Ale to głupstwo.

Mateo zaczął skradać się naokoło stołu, jakby spodziewał się przez zaskoczenie wydobyć prawdę z gościa.

– A w głowę co ci się stało? Co znaczy ten bandaż, bracie? – dopytywał.

– To także drobnostka. Kontuzja od kuli. Mam twarde łeb...

– Kolba, nóż, kula. Boże wszechmocny! Co za głupcy zapomnieli, że jesteś przyjacielem Mateo Rubriza?

– Gubernator¹ Duraya² i jego wojsko.

– Generał Ignacio Estrada? Gdzie ten pies odważył się ciebie napaść?

– W kościele Matki Boskiej w Gwadelupie³.

– Gubernator... napadł cię... w kościele! – Herszt nie mógł uwierzyć w to, co słyszał. – Czy ja oszalałem? Broniłeś się?

¹ *Gubernator* – tu: w Meksyku urzędnik sprawujący najwyższą władzę wykonawczą stanu lub terytorium zależnego.

² *Duraya* – miasto w Meksyku.

³ *Kościół Matki Boskiej w Gwadelupie*, właściwie *Bazylika Matki Boskiej w Gwadelupie* – kościół zbudowany na pamiątkę objawienia, aktualnie największe sanktuarium maryjne na świecie.

– Odpierałem napad. Gubernator przyjechał z bandą zamaskowanych ludzi po szmaragdową koronę Matki Boskiej¹.

– Ależ, bracie, ta korona została skradziona przed wielu laty! – odparł zaskoczony herszt.

– Znalazł ją rolnik, którego syn był śmiertelnie chory. Ze zwrotem korony chłopak ozdrowiał. Gubernator dowiedział się o tym i ukradł ją i złoto.

– Skąd pewność, że to był on, skoro miał maskę?

– Święty biskup rozpoznał po głosie głównego napastnika.

– Biskup Emiliano?

– Tak.

– Ach! – zawołał Rubriz. – To mały człowieczek, ale zawałdiaka. Mnie zna, co?

– Złożyłeś kościołowi wiele hojnych darów.

– O, tak, nie poskapiłem ani złota, ani srebra. Słyszysz, bracie? Na dźwięk mego nazwiska w tym kościele cienie i posągi szepcą za mnie modlitwy. Powiadam ci: samym kościołem wykupiłem sobie połowę drogi z piekła do nieba.

Braciszek uśmiechnął się lekko.

– Ale ten Estrada... Co ty o nim powiadasz? Nie zdarzyło się dotąd, by generał był porządnym człowiekiem. Prócz Benito. Prócz Benito Juareza²... Niech spoczywa w pokoju!

– Niech spoczywa w pokoju! – powtórzył nabożnie braciszek Pascual. – Lecz ten niecny generał Estrada napadł na ko-

¹ *Matka Boża z Guadalupe* – katolicki tytuł Marii z Nazaretu, która według legend objawiła się Aztekowi świętemu Juanowi Diego Cuauhtlatotzinowi na wzgórzu Tepeyac, obecnie w granicach miasta Meksyk; od 1999 roku czczona jako patronka obu Ameryk.

² *Benito Pablo Juárez García* – meksykański polityk, generał, prezydent, uznawany za bohatera narodowego Meksyku; pamiętany jako reformator i demokrat, zwolennik równych praw dla Indian, zmniejszenia wpływów Kościoła i obrońca niepodległości Meksyku.

ściół. Biedni mnisi uciekli. Tylko biskup bronił obrazu Matki Boskiej¹...

– Jedno jego błogosławieństwo jest dla mnie więcej warte niż dziesięć tysięcy ptasich śpiewów braciszków...

– Spokój, Mateo! – przerwał surowo brat i opowiadał dalej:

– Biskup Emiliano, poznawszy głos generała, zawołał go po nazwisku. Estrada, pragnąc, by nie ostał się żaden świadek, powalił biskupa na posadzkę.

– Ta nieszczęsna łysa głowa! Pękła jak jajko? – spytał herszt.

– Najświętsza Panienska miała go w swojej opiece. Skończyło się tylko na potłuczeniu. Biskup żyje, a gubernator zamknął się w swoim forcie ze złotą koroną z dziesięcioma szmaragdami.

– Ale ty tam byłeś? – Rubriz, czerwony ze wzruszenia, domagał się odpowiedzi.

– Byłem... ale pogrążony w modlitwie. Chwila minęła, nim spostrzegłem, co się dzieje. Skoczyłem na nich z krzykiem, ale już powalili biskupa. Pochwyciłem dwóch żołnierzy i walnąłem ich łbami jeden o drugiego.

– Święty Janie Kapistranie! Że też mnie tam nie było!

– Żołnierze padli na ziemię. Powaliłem jeszcze trzeciego, lecz potknąłem się o niego, a on ciał mnie nożem w policzek. Gdy się podniosłem, padł strzał. Kula walnęła mnie w głowę, a jednocześnie któryś z napastników walnął mnie kolbą nad okiem. Nie poddałem się, ale rozpiierzchli się w ciemność jak kruki, a ja runąłem na twarz.

– Żeby zdechli! Padną na gęby! Oj, padną! Jeśli najpierw nie odetnę im powiek i nie ponabijam tych psów na pale, żeby się upiekli na słońcu, to nie zważaj na mnie...

¹ *Obraz Matki Bożej z Guadalupe* – wykonany na płótnie z agawy wizerunek przedstawia Maryję w postawie stojącej; według niektórych interpretacji, ze względu na uchwycenie obrazowego języka religii przedchrześcijańskiej, obraz jest skierowany do rdzennej ludności Meksyku.

– Mateo, nie wolno tak mówić. Nazajutrz, czyli dziś rano, biskup wezwał mnie i rzekł: „Jeśli pisnę choćby słówko o kradzieży, zlecą się sępy i rozniosą klejnoty po całym kraju. Lepiej będzie dać znać Rubrizowi. On tego tak nie zostawi”.

– Tak powiedział? – Herszt aż zerwał się z krzesła. – Nie dziwię się, że został biskupem. Jeśli tak dobrze zna się na ludziach, to i o świętych i o aniołach musi coś wiedzieć. Pokażę mu, Pascualu, że Rubrizowi można ufać. Ale co on każe mi zrobić? Pojadę do Duraya i poderżnę gardło generałowi, jak tylko wychyli się z fortu¹ o zmierzchu!

– To by nam nie pomogło odzyskać korony z fortu, Mateo.

– Ha! Prawda! Ależ, na Boga, Pascualu, przecież do fortu nie wlecę jak ptak i nie podkopię się jak kret. Czyż biskup tego nie wie? A nawet gdybym tego dokonał, to nie potrafię otoczyć się nimbem niewidzialności, by tylko zgarnąć klejnoty. Ma mnie za takiego spryciarza?

Brat westchnął. Spojrzał na swe wielkie ręce i milczał.

– Tak, tak, biskup tego właśnie chce! – mamrotał herszt, a jego twarz okryła się bladeścią. Gołym, włochatym ramieniem otarł pot z twarzy. – W pojedynkę nikt tego nie dokona! – krzyknął. – Spójrz na mnie, Pascualu, i powiedz mi, czyż nie mam racji?

Lecz Pascual, mocno zafrasowany, nie odpowiadał, tylko wpatrywał się w milczeniu w swe zaciśnięte ręce.

– Znajdę dziesięć innych szmaragdów i ofiaruję z nich dwa razy większą złotą koronę.

– Mateo, strzeż się bluźnierstwa! – skarcił go mnich.

– Prawda! – jęknął herszt. – To święta rzecz, z głowy Przenajświętszej Panny. Oby Bóg poraził Estradę piekielnym ogniem! Ale cóż ja jeden mogę zrobić?

¹ Fort – fortyfikacja obronna polowa lub stała, przystosowana do obrony okrzęnej, budowana od XVII wieku do początków XX wieku.

– Masz tylu ludzi – szepnął brat tak cicho, jakby chciał, żeby jego słowa stały się jednością z myślami herszta.

– Mam ludzi? Tak, mam ręce i broń do pomocy, lecz do takiej roboty banda jest przeszkodą, nie pomocą. Jestem zwinny jak wąż, szybki jak kot – to prawda i niczego się nie boję. Ale kto mi będzie bratem w niebezpieczeństwie? Oj, Pascualu, we dwóch możemy stawić czoło samemu diabłu, lecz ja, sam jeden w forcie Duraya...

Tu Rubriz wyrzucił ręce w górę i jęknął.

– Nie masz nikogo takiego? – spytał mnich.

– Jest, ale nie mógłby przyjechać.

– Można by mu zapłacić.

– Jest bogaty.

– A dla chwały Najświętszej Panny nie zgodziłby się?

– To jankeski¹ pies! – zawył Rubriz, biegnąc po izbie. – Nasza Panienska nic dla niego nie znaczy! Nawet gdyby zapuścił się w głąb Meksyku, słyhać by było szept kamieni ciągnący się za dudnieniem kopyt: El Keed! El Keed! Tak jest znieawidzony przez policję i wojsko!

– Więc poza tym jankesem nie ma nikogo innego? Ty go nienawidzisz?

– Tak, tylko ten, którego nienawidzę i kocham, a on mnie. Ach, Pascualu! Że też moja dwururka² wrzynała mu się w jego pierś. Że też miałem go w garści! A Tonio, zdrajca, leżał na łóżku... Pascualu, nie pozwól mi o tym mówić. O Boże, widzisz, że płaczę krwawymi łzami. Razem płacze moje serce. Ale darowałem im obu życie, bo Tonio mnie kocha, choć przybrał inne nazwisko i mowę. A co do Montany, przekonałem się, że był drugi po mnie. Rubriz, a zaraz po nim El Keed. Trzeciego nie ma.

¹ *Jankes* – określenie Amerykanina, tu: ma zabarwienie negatywne.

² *Dwururka* tu: *dubeltówka* – śrutowa broń myśliwska o dwóch lufach.

Nie mogłem go zabić. Opuściłem dom. Podaliśmy sobie ręce. Mówiliśmy spokojnie, po przyjacielsku. Potem na szlaku przez jakąś chwilę moje serce było tak pełne tej przyjaźni, że nie pamiętałem o stracie Tonia. A tylko przez Montanę go straciłem.

Brat Pascual słuchał tych zwierzeń z tak wielką uwagą, że aż pot lał mu się z czoła szybszymi kroplami niż lzy Rubriza. Znał doskonale te sławne dzieje, jak Montana Kid przy pomocy wytatuowanego znamienia podał się rodzinie Laverych za syna, którego Rubriz porwał przed dwudziestu laty z zemsty za to, że ranczer¹ smagnął go batem w twarz. Wiedział, że Kida ruszyło sumienie i wyprawił się w głąb Meksyku szukać prawdziwego dziedzica fortuny, którego kiedyś spotkał, włączając się to tu, to tam.

Wiedział, że Montana stoczył o Tonia straszną walkę z Rubrizem, który wychował chłopca w miłości do siebie i nienawiści do „jankesów”. Herszt walczył zaciekle z rozpaczą. Ścigał uciekinierów aż nad Rio Grande². Teraz Tonio wrócił do swojej prawdziwej rodziny. Rodzice wysłali go do Europy, aby zapomniał o swoim okropnym zastępczym ojcu, a ten młokos Montana pozostał na ranchu Laverych i miał się ożenić z córką ranczera. Była to historia tak niezwykła, że kto ją raz usłyszał, to już jej nie zapominał. Najdziwniejsze z tego wszystkiego było to, że Rubriz nabrał do zuchwałego młodzika szacunku, który przeważał nad nienawiścią.

¹ *Ranczer* – osoba opiekująca się gospodarstwem, w którym hodowane jest bydło, konie lub owce, zwykle w Ameryce.

² *Rio Grande* – rzeka w Ameryce Północnej; źródła rzeki znajdują się w Górach Skalistych w amerykańskim stanie Kolorado; w górnym biegu rzeka płynie na południe, przez stan Nowy Meksyk, następnie na południowy wschód w stanie Teksas; rzeka wpływa do Zatoki Meksykańskiej, kończąc swój bieg; przez dwa tysiące kilometrów, rzeka wyznacza granicę między Stanami Zjednoczonymi i Meksykiem.

Herszt wytarł hałaśliwie nos.

– Ulżyło mi – rzekł.

– Ten Montana, który ukradł Tonia... – zaczął brat.

– Zamilcz! – wrzasnął Rubriz, a na jego twarzy pojawił się obłąkańczy grymas.

– Gdyby był z tobą, mógłbyś targnąć się na fort Duraya i generała Estradę? Mógłbyś odebrać klejnoty? A gdybyś udał się do El Keeda, chłopak przypomniałby sobie, że darowałeś mu życie? Zgodziłby się z wdzięczności narazić na niebezpieczeństwo?

– Żeni się z siostrą Tonia. Niby jak go od niej oderwę?

– Nie wolno nam wątpić, Mateo. Wyprawmy się na północ, za Rio Grande, do kraju jankesów. Może tam na miejscu Bóg nam wskaże drogę. Może Montana ulegnie naszym prośbom.

Rubriz stanął. Powoli podnosił głowę.

– Kto wie, Pascualu. Kto wie? Może to i dobra rada. Może taka jest wola boska. Może Bóg chce, aby Mateo Rubriz stanął bok w bok razem z El Keedem. Nawet Bóg sam jeden nie wie, jakich niesłychanych rzeczy tacy dwaj mogą dokonać. To prawda! Zaczyna podobać mi się ten plan. Pojedziemy razem. Będziemy działać razem. Nie powstrzymają nas ani kamienne wały, ani wojsko.

– Szkoda tylko, że to to jankes! – westchnął mnich.

– Taa... – odparł herszt. – Szkoda! Ale tylko po wierzchu, bo serce ma meksykańskie!



Rozdział III

W zagrodzie przyciągano gniadą¹ klacz do słupa. Joe Tombstone, wielki poskramiacz dzikich koni, ciągnął liny. Kowboje² gromadą zajęli wysokie na osiem stóp³ ogrodzenie i przyglądali się tej scenie. Wśród nich był Montana Kid. Gdy patrzyło się na niego z werandy⁴, niczym nie odróżniał się od innych, z tą jednak różnicą, że był trochę szerszy w barach. Nawet z tej odległości widać było, mimo koszuli, ruchy jego potężnych mięśni grzbietowych.

Ruth Lavery stała koło filaru werandy.

– Powinniśmy tam iść – zauważyła.

– Jest zbyt dużo widzów – odparł Richard Lavery. – Jak tylko się zbliżymy, Montana będzie chciał dosiąść klaczy.

– Obiecał, że nie będzie próbował – odparła, lecz jej błękitne oczy wypełniły się łękiem.

– Obiecał, taa... U niego to tylko słowa.

– Niech tata tak nie mówi – zaprotestowała.

– Mogę nie mówić – ustąpił, lecz jego zacięty wyraz twarzy zdradzał co innego.

– Tata go nigdy nie kochał! – poskarżyła się, nerwowo obejmując słup werandy.

¹ *Maść gniada* – umaszczenie konia; sierść brązowa od jasnej do brunatnej i prawie czarnej, grzywa, ogon i dolne odcinki kończyn są czarne.

² *Kowboj* – pasterz bydła w Ameryce, zajmował się również hodowlą koni.

³ *Stopa* – tu: stopa angielska; miara długości równa 30,48 cm.

⁴ *Weranda* – dobudówka, najczęściej jest to drewniane lub murowane pomieszczenie, oszklone lub otwarte, przykryte dachem. Znajduje się przed wejściem do budynku mieszkalnego na terenach wiejskich i podmiejskich, pełni funkcję wypoczynkową.

– Szanuję go i podziwiam – odparł lakonicznie. – Nigdy nie spotkałem tak dzielnego mężczyzny jak on.

Ranczerka westchnęła szybko, jak każdy, którym targa silny stłumiony gniew, i wybuchnęła:

– Bo tata ma go za włóczęgę!

– Owszem, ale to przecież nie wszystko. – To rzekłszy, spojrział na żalobną przepaskę na rękawie. Przed dwoma miesiącami zmarła mu żona.

– Dla taty to włóczęga i ktoś więcej – szepnęła, jakby do samej siebie. – Tata wysłał Dicka do Europy, żeby był daleko od Montany, od pokus awanturniczego życia. Tata nigdy nie miał zaufania do Montany.

– Myślisz, że teraz, gdy nie ma już matki, on tu długo z nami wytrzyma? – spytał łagodnie wdowiec.

Ruth podniosła lekko głowę, jakby szukając odpowiedzi w połaciach doliny, w wysokich płaskowzgórzach, w zielonych pastwiskach, które milami¹ ciągnęły się po posiadłości Laverych. Dick, dawny Tonio Rubriz, dostanie połowę majątku. Montana wyrwał go z meksykańskiej nicości, by wrócił do należnych mu bogactw. Druga połowa przypadnie jej i Montanie.

– W niedzielę nasz ślub – przypomniała.

– Już raz przełożył i przełoży jeszcze raz – powiedział twarde, bez miłosierdzia głosem.

– Nie odłoży! To już ostatni raz! On wie – odparła i dodała po chwili na pół gniewnie, na pół smutnie: – Czyżby mnie nie kochał?

– Kocha, owszem, ale kocha też konie, pistolety i wolność.

W zagrodzie Joe Tombstone, uwiązawszy klacz u słupa, odstąpił na kilka kroków i przyglądał się zwierzęciu. Zajęli się nią

¹ *Mila* – tu: mila angielska, równa 1609 m.

inni. Zawiazywano jej oczy, zakładano uzdę¹ i siodło. Ransome, siwowłosy dozorca, pilnował, by wszystko było zrobione jak należy.

– Co myślisz o tej klaczy? – zwrócił się do Joego.

– Dzikuska naładowana dynamitem! Za piękna, by mogło być z niej coś dobrego.

Montana odezwał się z wysokości płotu:

– Takiej błyskawicy nie pytasz czy jest dobra, tylko jak daleko cię zaniesienie.

Tombstone odwrócił się ostro, by odgryźć się dowcipnisiowi, ale spostrzegłszy, że to Kid, dał spokój. Tylko wolno potarł się po szczęce, jakby rozcierał cios.

Kid nie uśmiechał się. Na jego przystojnej opalanej twarzy malował się niewzruszony spokój, lecz gdy patrzył na klacz, w jego oczach zapalały się coraz gorętsze ogniki. Zsunął kapełusz na tył głowy, odsłaniając gładkie granatowoczarne włosy. Był tak ciemny, że można go było pomylić z Meksykaninem. Tylko w chwilach podniecenia żywe niebieskie oczy bładły od wewnętrznego ognia. Był wielki jak ta rasowa klacz, lecz tak mocarny i proporcjonalny, że wydawał się lekki i zwinny.

– Ta błyskawica – stwierdził Joe – poniesie daleko, prawda, ale do samego piekła, i to na zawsze.

Kid nie odpowiedział. Strząsnął popiół z papierosa i patrzył na klacz. A ta czekała cierpliwie, poddając się ciemnościom, osłepiającym jej oczy i dławiącym jej myśli. A przez tę cierpliwość przebijało niebezpieczeństwo. Mimo że stała z opuszczonym łbem, nie miała w sobie nic z ujarzmionego mustanga².

¹ *Uzda* – element uprzęży lub rzędu końskiego nakładany na głowę konia.

² *Mustang* – rasa dziczących koni, wywodzących się od koni przywiezionych z Hiszpanii do Ameryki Północnej w XVI wieku przez hiszpańskich konkwistadorów; część przywiezionych koni w różnych okolicznościach dostała się na wolność i wtórnie dziczyła, tworząc nową rasę.

Za dawnych czasów dzikie, upolowane sokoły¹ ceniono najbardziej podczas łowów. Klacz była takim sokolem. Kid wiedział, że była wyborowa. Rozkoszował się jej siłą i rączością. Poznał się na niej od pierwszego dnia, gdy wyruszył z innymi na polowanie. Pościg trwał tak długo, że po raz trzeci trzeba było przełożyć ślub z Ruth. A teraz siedział na ogrodzeniu i patrzył, jak słynny ujeżdżacz miał właśnie się z nią zmierzyć. Nie on, Montana, bo przyrzekł, że nie wsiądzie na nią, dopóki nie będzie ujeżdżona. Z tego powodu jego serce, głowę i końce palców przeszywały elektryczne dreszcze.

Założono uzdę i siodło. Tombstone dosiadł ostrożnie dzikuskę. Liczne upadki nauczyły go przezorności. Zachowywał się, jakby czuł strach.

– Puśćcie ją – rozkazał spokojnie.

Kowboje zdjęli klaczy opaskę z oczu i linę z szyi. Ta natychmiast skoczyła w niebo.

Widzowie milczeli. Wiele razy byli świadkami ujeżdżania koni, lecz ten pojedynek był czymś innym. Nikt się nie poruszył. Każdy sztywno, jakby przykuty, siedział na płocie. Patrzyli i myśleli. Konie trzeba ujeżdżać, tylko, że ta klacz była wcieleniem piękna, przez co człowiek wydawał się Bestią.

Joe był przerażoną Bestią. Nie silił się na kawalerską fantazję, jak to robią kowboje na rodeo². Zaczął dobrze, siedząc i kłując boki klaczy ostrogami³. Lecz już za drugim podskokiem zaczął

¹ *Sokół wędrowny* (*Falco peregrinus*) – gatunek średniego ptaka drapieżnego z rodziny sokołowatych (*Falconidae*); zasiedla wszystkie kontynenty z wyjątkiem Antarktydy.

² *Rodeo* – sport wywodzący się z pracy z bydłem, głównie w Stanach Zjednoczonych, Hiszpanii i Australii; bazuje na umiejętnościach wymaganych w pracy kowbojów; konkurencje, które w większości są rozgrywane z końskich grzbietów, mają sprawdzić umiejętności i refleks zawodników.

³ *Ostroga* – w jeździectwie metalowe kabłąki zakończone ramionami o różnych zakończeniach i o różnej długości, przypinane do butów, wspomagają kierowanie koniem.

ściągać wodze jak żółtodziób w stadzie dzikich, nieujarzmionych mustangów.

Klacz szalała, jakby tornado szalało. Gdy ruszała, zdawało się, że rozniesie płot. Gdy kołowała w miejscu, zdawało się, że zrobić w ziemi lej. Tombstone wyleciał z siodła bokiem, walnął o ziemię, aż się zakurzyło, przetoczył się i znieruchomiał.

Trzy lassa¹ spadły na łeb dzikuski i zatrzymały ją, bo inaczej stratowałyby śmiałka na śmierć. Ktoś przeczołgał się pod płotem i wyciągnął Joego z zagrody. Ktoś inny wylał mu na omdloną twarz manierkę wody. Po chwili Tombstone odetchnął i wstał.

– Tym razem mnie przechytrzyła, ale jeszcze jej pokażę.

– A ty co na to? – Ransome zagadnął Kida.

– Śliczniutka – mówiąc to, zeskoczył wprost do zagrody.

Kid przesuwiał się ostrożnie wzdłuż wewnętrznej części ogrodzenia.

Klacz znów przyciągano do słupa.

Ransome złapał Montanę ze rękę.

– Spójrz na nią. Nie bądź głupi. Niech cię nie kusi.

Kid spojrział na rękę dozorczy i ten zabrał ją z pośpiechem.

– Tylko spróbuję.

– Obiecałeś panience Ruth! – wykrztusił Ransome.

– Naprawdę? – odparł z roztargnieniem.

Podszedł do klaczy od przodu i zajrzał jej w oczy. Stała spokojna. Zrozumiała, że z postronkami² nie ma co walczyć. Nie na zewnątrz. Dzikość czekała potulnie.

Z płotu odezwał się głos:

– Diabła by ujeździł, ale jej nie poradzi.

Drugi krzyknął:

– Jak ona się wabi? Jak ją nazwiesz, Montana?

¹ *Lasso* (także: arkan) – broń w postaci sztywnej liny sformowanej w pętlę, która jest zarzucana na cel, a następnie zaciskana.

² *Postronek* – mocny, grubo skręcony sznur.

- Pospiesz się, nim cię zabije – wtrącił następny.
- Nazwę ją Sally – odparł łagodnie Młokos, uroczo uśmiechając się do całej gromady.

Zaszczycił ich subtelnym spojrzeniem. Kowboje bali się go tak bardzo, że aż nienawidzili. Ale że potrafił zaskarbić sobie ich miłość, nikt nie odpowiedział uśmiechem.

- Czemu Sally? – spytał Ransome.
- Znałem kiedyś pannę o tym imieniu.
- Była podobna do tej klaczy?
- Nosiła takie same czarne jedwabne pończoszki – wyjaśnił uprzejmie Kid.

Tombstone ostrożnie sadowił się na siodło.

- Uważaj, Joe – rzekł Montana.
- Co jak co, ale nie będziesz dawał mi rad – fuknął kowboj.

Montana westchnął i przymknął oczy. Gdy je otworzył, kopyta klaczy dudniły o ziemię, a kurz wzbijał się i wybuchał gęstymi tumanami. Przez szpary w kurzawie i górą, gdzie pył był rzadszy, przedzierały się obrazki walczącej klaczy i jeźdźca, który uczeplił się jej jak rozbitek belki.

Coś z poślizgiem wyrznęło w ziemię. Przetoczyło się parę razy i wyłoniło, ukazując rysy człowieka. Ubranie miał białe od kurzu, a twarz czarną.

Na werandzie krzyknęła dziewczyna, lecz nikt nie spojrzał w jej stronę. Nie krzyknęła dlatego, że Tombstone znów bezładnie zleciał z konia, ale dlatego, że widziała, jak Montana skończył z płotu niczym puma¹ z drzewa.

Kowbojów, co siedzieli blisko niego, podobieństwo to uderzyło jeszcze bardziej. W oczach Młokosa widzieli dzikie błyski.

¹ *Puma (Puma)* – zwierzę drapieżne podobne do kota, ale znacznie większe, o krótkiej, brązowo-płowej sierści, żyjące w Ameryce Północnej i Ameryce Łacińskiej.

Przyczał się, ręce zacisnął na górnej belce i niczym wiatr pędził susami po zakurzonej zagrodzie w pogoni za kłaczą, która uciekała przed nim jak przed prawdziwą pumą. Przyparł ją do ściany. Chciała umknąć, jakby czuła na sobie kły i szpony.

Tak też się na nią rzucił – z rękami i nogami, jak dziki kot. Dała susa w górę, lecz Montana już się jej uczepił. Jedną ręką trzymał za łęk¹, a reszta ciała wirowała w powietrzu. Ale sekundę później siedział w siodle.

Kurz kłębił się jak mgła na morskim wietrze. Nawet kłacz upodobniła się do szkwału². Kowbojom migąła jej rozwarta czerwona paszcza i pełne dzikiego ognia ślepia. Wyskakiwała wysoko, jakby walczyła z powietrzem. Słyszeli głuchy łomot kopyt uderzających o ziemię. A niewyraźna postać jeźdźca niebezpiecznie przechylała się raz po raz w prawo lub w lewo. Tylko chwilami był w siodle, bardziej jednak trzymał się jej uczepiony ręką i nogą niby pazurami.

Widzowie osłupieni z przerażenia obserwowali walkę jeźdźca ze śmiercią. Joe Tombstone stał oparty o płot z twarzą czarną od zakrzepłego kurzu i czerwoną od kapiącej krwi.

Krzyki ucichły.

Każdy z kowbojów nie ruszył się z miejsca. Jeden klęczał na kolanie, drugi, stojąc na palcach, trzymał się słupa, usta miał otwarte, jakby krzyczał. Inny sztywno trzymał kapelusz wysoko nad głową.

Z werandy widać było głowę Montany latającą bezwładnie za każdym podskokiem kłaczy. Broda uderzała mu o piersi. Wydawało się, że lada moment jeździec wyleci z siodła, ale ciągle

¹ *Łęk siodła* – element stelażu siodła, który nie powinien w żadnym wypadku dotykać końskich pleców podczas jazdy, ponieważ grozi to odbiciem lub otarciem kłębu konia.

² *Szkwał* – nagły, silny i krótkotrwały wiatr, występuje nad obszarami mórz i oceanów.



Niewyraźna postać jeźdźca niebezpiecznie przechylała się raz po raz w prawo lub w lewo.

się trzymał. Można byłoby to nazwać szczęściem, ale to szczęście nie miało tu nic do powiedzenia.

Pewnym było, że albo człowiek, albo klacz przypłaci tę walkę śmiercią.

Wtem klacz zatoczyła się i stanęła na sztywnych, szeroko rozstawionych nogach.

Po chwili Montana powoli zlązł z siodła. Ześlizgnął się na ziemię. Miał czerwoną twarz. Krew lała mu się z ust, z nosa i z uszu, twarz wyglądała niczym maska zalana krwią. Poszukał łba klaczy, objął ją za szyję i zaczął gładzić po pysku.

Zwierzę, przymykając oczy z wyczerpania, ociążale oparło łeb o swego pogromcę. A Kid, zdjawszy bandanę¹, zamiast wytrzeć swą przerażającą twarz, zaczął osuszać pysk Sally z piany i śliny.



¹ *Bandana* – mała kolorowa chustka noszona jako opaska na głowie.

Rozdział IV

Kilka dni później Mateo Rubriz siedział w *cantine*¹ w Greaser Town, meksykańskim osiedlu wokół Bentonville² niedaleko rancza Laverych. Zaczny brat Pascual, ledwo zjadłszy swoją porcję frijoles, odszedł od stołu. Zostali tylko Mateo i osobnik o bladej twarzy i szerokich ramionach, jakie widuje się u żołnierzy. Każdy wzięłby go za oficera oraz suchotnika³. Ale nosił strój zamożnego meksykańskiego *charro*, z żółtej skóry, ze srebrnymi ozdobami, które to się świeciły, to przygasały, w zależności od tego, w którą stronę się poruszył lub jak podnosił szklanekę białozielonej tequili⁴.

Był to Jack Lascar. Znano go na południe od granicy i na północ od rzeki, ale nikt nie wiedział, jakiej był narodowości. Mówiono, że istotnie wywodził się od Lascarów, o czym bezspornie miały świadczyć żółtawe białka oczu.

Ów człowiek obnosił się ze spolegliwą wesołą wyższością. Dało się ją odczuć w tonie jego głosu, gdy spytał:

– A gdybym wyszedł na ulicę i rozgłosił tutejszym, że jest tu sam Mateo Rubriz? Gdybym powiedział to jankesom? To co by ci zrobili?

Bandyta wyszczerzył zęby. Jego tłuste policzki podniosły się ku oczom, nieomal je zasłaniając. Nachylił się.

– Twój ojciec... – zaczął.

¹ *Cantina* (hiszp.) – winiarnia.

² *Bentonville* – miasto w Stanach Zjednoczonych, tu: położone w stanie Texas.

³ *Suchotnik* – człowiek chory na gruźlicę.

⁴ *Tequila* – wódka meksykańska z soku agawy.

Dalej mówił tak cicho, że Jack Lascar musiał przybliżyć ucho do jego twarzy, żeby usłyszeć słowa. Na twarzy Jacka odmalowało się rozmarzenie.

– Zawsze byłem tego ciekaw – rzekł. – Zawsze chciałem się dowiedzieć, kto go sprzątnął. A więc ty?

– Któż inny by się odważył? – odparł Rubriz, odchylając się w tył, rozkładając przy tym ręce w triumfalnym geście.

Jack Lascar chrząknął.

– Więc czego chcesz?

– Potrzebuję przysługi – odparł Meksykanin.

– Pfff! – znów chrząknął. – Mów!

– Jest ktoś, kogo nienawidzisz.

– Tak sądzisz?

– To Montana Kid.

Lascar odwrócił się szybko w krzesło i obejrzał się przez ramię na drzwi i okno. Następnie dopił trunek i wpił wzrok w towarzysza.

– Niech go diabli! – warknął.

– Pamiętam, jak raz w Carson City¹ w Nevadzie², w „Cesar-skim Szytku” – powoli ciągnął Rubriz – we wtorkowy poranek...

– Niech cię cholera! – krzyknął Lascar.

Bandyta rozparł się wygodniej w krzesło. Wyglądał w tej chwili na potulnego grubaska w średnim wieku, którego siły żywotne w znacznej mierze opuściły. Lecz Jack doskonale wiedział, że to tylko pozory.

– Ten Montana Kid – spokojnie z uśmiechem mówił Rubriz – jest łasy na wyzwania, jak pies na surowe mięso. Jeśli napiszesz mu kartkę z wyzwaniem... Umiesz pisać po angielsku?

¹ *Carson City* – miasto w Stanach Zjednoczonych, tu: położone w stanie Nevada.

² *Nevada* – stan w zachodniej części Stanów Zjednoczonych, cechuje się górzystym krajobrazem.

– Umieję pisać w pięciu językach – odparł wolno z nutą goryczy w głosie – i przeganiam bydło parszywemu...

– Jankesowi – podsunął Rubriz, nadal się uśmiechając.

Jack Lascar milczał, a Mateo ciągnął dalej:

– Jeśli napiszesz wyzwanie i przybijesz na desce ogłoszeniowej przy poczcie, dowie się całe miasto. I Kid też się dowie. Przyjedzie. Szeryf jest poza miastem, więc prawa nie ma w mieście. Wyniosło się na cały dzień!

Jack Lascar zapalił papierosa i wyciągnął rękę z pustą szklanką. Gospodarz podbiegł, szurając pantoflami. Nalał trunku tak pełno, że aż się przelało i kilka kropel spadło na podłogę. Lascar wychylił szklankę. Część trunku ściekła po brodzie na żółtą skórzaną kurtę, ale nie zwrócił na to uwagi. Nawet nie otarł ust. Był zbyt pochłonięty rozmówcą.

– Montana by przyjechał! – rzekł Rubriz.

– Nie przyjedzie – zaprzeczył Lascar. – Wszyscy wiedzą, nawet dzieci, że jeśli Montana dobędzie broni i strzeli do kogoś, choćby w samoobronie, to szeryf z patrolem zaraz ruszy za nim w pościg.

Rubriz przymknął oczy, by towarzysz nie zauważył iskrzących się w nich ognia. To był jego plan, cały plan, by przepędzić Montanę z kraju jankesów, wplątawszy go w konflikt z prawem. I gdzież by się schronił, jak nie w Meksyku? I z kim chętniej by się sprzymierzył, jak nie z Mateo Rubrizem? A będąc już na bandyckim szlaku, dla El Keeda okradzenie fortu w Duraya byłoby niczym wychylenie szklaneczki whisky. Żeby tylko ten Jack Lascar zechciałby stać się wabikiem!

– W każdym razie Keed najbardziej boi się wstydu – rzekł bandyta. – Wiesz, że mam powód, by go przeklinać?

– Wykradł ci syna – fuknął szyderczo Jack. – Wykradł ci syna i zrobił go jankesem.

– Tak – odpowiedział z nieudawanym chłodnym spokojem Rubriz – i dlatego musi umrzeć.

Mówił to, co czuł. Bez względu na przyjaźń, jaka się między nimi zrodziła, za tę krzywdę, któregoś dnia El Keed musi zapłacić. Patrząc przez okno, nad okrągłymi, żelaznymi stolikami na czerwony zachód słońca i wdychając ostry, stęchły dym papierosowy, Rubriz kontynuował:

– Ja nie mogę go wyzwąć, bo nie mogę się tu pokazać ludziom. Jak tylko wyściubię nos na ulicę, zrobi się kocioł i zagonią mnie do więzienia. Ale ty możesz go wyzwąć. Możesz wyznaczyć godzinę. Możesz stanąć na środku ulicy i czekać ku zdumieniu ludzi, że ktoś odważył się wyzwąć El Keeda. Któż zgadnie, że Mateo Rubriz zaczął się koło któregoś domu czy gdzieś w oknie ze strzelbą gotową do strzału, by zakończyć pojedynek, nim jeszcze się zacznie? Słyszysz, Jack? El Keed będzie martwy, zanim wróci na zbójcki szlak! Będzie martwy, zanim będzie musiał uciekać przed prawem.



Chcesz przeczytać dalszą część?

Zapraszamy do księgarni!